

MILJENKO JERGOVIĆ

Sarajewskie Marlboro

przełożyli Magdalena Petryńska

oraz Miłosz Waligórski i Maciej Czerwiński



Tytuł oryginału: *Sarajevski Marlboro*

Wydanie polskie na podstawie: Fraktura, Zaprešić 2018

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Redakcja i korekty

Joanna Pomorska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Copyright by Miljenko Jergović

Copyright for the Polish translation by Magdalena Petryńska oraz Miłosz Waligórski i Marcin Czerwiński

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.
Warszawa 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-156-8

ISBN 978-83-7963-157-5 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

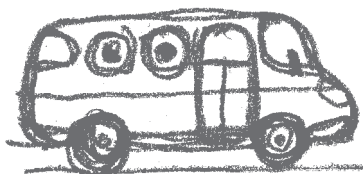
ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

NIEOMIJALNY SZCZEGÓŁ
BIOGRAFII

Wycieczka



Miejsce głowy jest na poduszce, cała reszta to istny koszmar. Czujesz, jak tracisz miękki grunt pod sobą. Kołyszają się wszyscy uśpieni ludzie, twoja skroń uderza w ramię matki. Uchylasz powiekę i widzisz taniec słupów pod nogami, złudzenie optyczne prostych figur geometrycznych, które zawraca cię w sen. Budzi cię niespodziewane uczucie mdłości, jesteś w autobusie, otoczony urzędnikami agencji finansowej¹, którzy jadą na wycieczkę do Jajca. Nikt oprócz twojej matki nie zabrał dzieci; musisz zobaczyć wodospady, stwierdziła surowo, i nie ma teraz znaczenia, że twoje wnętrzości pchają się na zewnątrz, że w głowie masz mętne bagno, które nigdy nie stanie się bystrym nurtem. Słyszysz w myślach rytmiczne stukanie grubej szyby autobusu, przed oczyma przemykają ci obrazy, te, co dopiero później, może za dziesięć lat, zmieniają się w znane pejzaże szeroko rozumianych stron rodzinnych, o których z zachwytem

¹ W czasach, o których mowa, była to SDK (Služba društvenog knjigovodstva – Urząd Księgowości Państwowej), instytucja zajmująca się obrotami w walucie krajowej wszystkich przedsiębiorstw w całej Jugosławii. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczy).

i przesadą mówi się znajomym z innych krajów i innych stron rodzinnych.

Jest deszczowy dzień, pod mostami płynie wezbrana Bosna – pogoda całkiem nieodpowiednia na wycieczkę. Urzędnicy w średnim wieku wesoło gadają i obserwują jasnowłose sekretarki, które w wielkich torbach plażowych mają pieczone kurczaki, szminkę i grzebienie, tabletki plivadonu, olejek do opalania i małe kobiece rzeczy, których, jak dowiem się znacznie później, używa się tylko raz w miesiącu, ale ten raz zawsze wypada wtedy, kiedy jedzie się na wycieczkę albo idzie na jakąś imprezę.

Patrzysz, jak jakiś maluch wyprzedza autobus; jest w nim czterech chłopaków. Widziani z góry przypominają wesołe krasnale, które ten deszcz cieszy. Ścigają się po lśniącym, mokrym świecie z każdym, kogo napotkają. Wydaje ci się, że nikt inny z autobusu na nich nie patrzy. Ludzie są zajęci ważniejszymi sprawami; w środku tygodnia dostali wolny dzień i teraz trzeba go wykorzystać. Szczerbaty Dżemo wziął wojskową manierkę, którą puszcza w koło i dla hecy podaje ją także tobie. Myślisz, że jest tam woda, ale uderza cię ostry zapach płynu, którym pielęgniarka przeciera ramię przed szczepieniem. W tym momencie twoje wnętrzności w końcu wydostały się na zewnątrz, siedzenie przed sobą obryzgałeś jakąś gorzką, żółtawą papką, taką lepką, że jeszcze długo zostanie w nozdrzach.

Autobus zwalnia i zatrzymuje się na środku drogi. Kierowca wysiada, a za nim wszyscy pasażerowie. Matka każe ci zostać, ale nie chcesz być sam w autobusie. Podchodzisz do sporej grupy ludzi, prześlizgujesz im się między nogami i widzisz całkowicie zgniecionego malucha, z którego sterczy ręka. Matka zasłania ci dłonią oczy, nie patrzysz, dopóki nie posadzi cię znowu na fotelu. Błdzi podróżni wracają za tobą, nikt nie mówi ani słowa, tylko jedna z trzech blondynek narzeka, że to nam zepsuło wycieczkę. Jakie to? Nie pytasz, bo wiesz, że wypadłbyś głupio. Ludzie w maluchu są martwi, ale chyba tylko ciebie to nie wzrusza. Nikt ich

nie znał, więc po co teraz rozpaczać? Dżemo zaczyna opowiadać o wypadkach drogowych, które przeżył i o których słyszał. Myślisz, że każda podróż, jeśli Dżemo mówi prawdę, kończy się w zgniecionym maluchu. Nie wydaje ci się straszne, że i twój autobus mógłby być obiektem czyichś bladych spojrzeń, a czyjaś matka zasłaniałaby oczy przed twoją ręką. Sytuacja nie jest nawet pozbawiona uroku. Nie wiesz dlaczego, ale przychodzi ci na myśl, że przyjemnie jest być w centrum takiej uwagi. Nie jest ci już niedobrze, napina ci się ptaszek w spodniach, a błogość przenika żyły. Wreszcie się obudziłeś i oprzytomniałeś. Zagadujesz matkę, machasz nogami, prosisz Dżema o manierkę, rozśmieszasz otoczenie, jesteś w centrum uwagi i jest ci dobrze, jakbyś zginął.

Jajce jest zrobione z ogromnych klocków lego. Czyjaś wielka ręka ułożyła je jakby według schematu. Prawdziwy jest tylko wodospad. Wielki i groźny. Cały czas siedzisz pod pochyłym dachem w ogródku restauracji. Dżemo opowiada o dziewczynie, która z powodu chłopaka skoczyła ze szczytu wodospadu. On, kiedy o tym usłyszał, skoczył także. Ale dziewczyna nie zginęła, tylko nazajutrz pojawiła się w mieście. Pytała ludzi, gdzie jest jej chłopak, a ludzie powiedzieli, że skoczył za nią. Zasmuciło ją to i znowu rzuciła się do wody. Nikt prócz ciebie nie wierzył Dżemowi. Spytałeś go, czy chłopak po skoku pojawił się żywy. Nie. I nie potrafiłeś pojąć, jak kobieta, a kobiety są słabsze od mężczyzn, może raz ująć z życiem, a chłopak nie mógł ani razu. Zaproponowałeś Dżemowi, żebyście skoczyli, i zobaczyłoby się, kto przeżyje. Dżemo nie chciał.

Pod Jajcem, powiedział, są jakieś korytarze, z których, kiedy się do nich wejdzie, nie można wyjść. Wrzucają tam chłopców, którzy palą w szkolnych ubikacjach. To cię przerażało. Nigdy nie paliłeś, ale ktoś mógłby pomyśleć, że może jednak, i wrzucić cię do środka. Straszne byłoby błądzenie przez całe życie w mroku.

Poszliście do jakiejś sali z portretami bohaterów. Tutaj towarzyszył Tito zrobił Jugosławię². Zapytałeś, czy towarzyszył Tito zrobił także Jajce. Dżemo odpowiedział, że nie, ale tak jakby. Tego nie zrozumiałeś. Według ciebie tylko towarzyszył Tito był wystarczająco wielki, żeby ułożyć klocki lego nad wodospadem. To „nie, ale tak jakby” Dżema mocno śmierdzi, jak i jego manierka.

W jakiejś restauracji jedliście wszyscy razem. Ty zjadłeś szaszłyki, które w drodze powrotnej w tym samym autobusie wymiotowałeś. Nieważne, przyjemnie było je jeść.

Na dworze była już noc i nie wyprzedził was żaden maluch, nie zatrzymaliście się ani razu i nikt nie zginął. Dżemo nie opowiadał więcej o wypadkach. Mówił o czymś innym, co chyba także nie było prawdą. Albo było prawdą tylko w tej jednej chwili, zanim wszyscy razem zamknęliście oczy i obudziliście się, kiedy niebo było już czerwone jak płonący dach nad światłami Sarajewa.

2 Antyfaszystowska Rada Wyzwolenia Narodowego Jugosławii, powstała w 1942 r. z inicjatywy komunistów pod przewodnictwem Tity, na posiedzeniu w Jajcu 29 listopada 1943 r. powołała rząd tymczasowy, co uważa się za datę powstania państwa, choć wojna jeszcze trwała.

REKONSTRUKCJA ZDARZEŃ

Kaktus



Żyła w stałym lęku, że coś ważnego i pięknego w życiu przegapi. Często podróżowała, a jeszcze częściej wpadała w rozpacz, że nie podróżuje. Uważała, że prawdziwa zabawa i szczęście zawsze były gdzie indziej, miała mnóstwo planów, jak je schwytać za ogon, jak w nieustannym ruchu znaleźć ten kryształowy moment, kiedy, przynajmniej tak mówią sny, życie staje się bajką.

Pod koniec grudnia 1990 roku zdecydowała, że Nowy Rok przywitamy z tłumem nieznanomych ludzi na Hvarze. Podekscytowana przedstawiła tę decyzję jako propozycję, miałem kilka uwag, ale tak ją zasmuciły, że w końcu uznałem wyjazd za nasz wspólny pomysł. Przedostatniego dnia roku spotkaliśmy się na Marijindvorze. Był ranek, wczesny ranek, tramwaje jeszcze nie jeździły. Poznałem mnóstwo zblazowanych facetów i dziewczyn w odświeżonych sukniach, które bezbłędnie kojarzą mi się z pijatyką. Nas dwanaścioro plus masa rzeczy, plus wesółka suka bokserka zajęliśmy miejsca w trzech samochodach. Dwa golfy ruszyły pierwsze, a za nim na poły rozwalony citroën dyane. Mieliśmy nim jechać my dwoje, tysięcący student elektroniki, jego gruba, brzydka

dziewczyna i pies. Auto było oklejone taśmą samoprzylepną, wiało ze wszystkich stron, a nogi prawie wylaziły przez podłogę. Wlekliśmy się niezdolnie wolno drogą na południe, gruba dziewczyna gadała o paryskich perfumach, a pies bezustannie puszczał głośne, smrodliwe bąki. Za każdym razem kokieteryjnie się uśmiechałem, rzucałem jakąś ogólną uwagę i diabelnie się starałem, by moja dziewczyna myślała, że świetnie się bawię. Na Ivan planinę dyane pełzła dwadzieścia na godzinę, w Konjicu dwa razy kichnęła i nieodwołalnie znieruchomiła. Bokserka znowu głośno walnęła nam prosto w nos i wesoło zaszczekała. Wysiedliśmy, zatrzymały się też golfy i rozpoczęła się narada, co robić. W każdej kombinacji my okazywaliśmy się nadwyżką. I kiedy już podjęto decyzję, kto pojedzie dalej pociągiem, a kto samochodem, ująłem ją za rękę i szepnąłem:

– Może jednak wrócimy?

Nie spojrzała na mnie gniewnie, jak oczekiwałem, tylko wzruszyła ramionami i westchnęła.

– Kto im to powie?

– Powiedz ty, jesteś mężczyzną.

– Lepiej ty, ty ich znasz. No i jeśli ja powiem, wypadnie, żeśmy się obrazili.

Oczywiście zaćwierkała, że my wracamy do Sarajewa. I miłe, i przykre decyzje zawsze umiałem w ładnych słowach przerzucić na innych.

Do pociągu zostało nam dwie i pół godziny. Usiedliśmy w zimnej, pustej sali hotelowej. Badaliśmy się nawzajem wzrokiem, prowadziliśmy grę drobnych czułych dotknięć.

– Naprawdę szkoda – skłamałem.

Ona obwiniła się, że zepsuła mi sylwestra. Pieszczotami i małymi męskimi sposobami przekonywałem ją, że tak nie jest.

– Przykro mi także z powodu prezentu.

Zawsze lubiłem dostawać prezenty, uparłem się więc, by ten akt dokonał się w Konjicu. Ona protestowała, bo sytuacja nie wydawała jej się wystarczająco uroczysta. Wciąż jeszcze

miała nadzieję na ten kryształowy moment. Ale mówiłem już, że jestem mistrzem w przekonywaniu. Ostrożnie otworzyła plecak i jeszcze ostrożniej wyjęła z niego jubileuszowy winiak w pudełku.

– Otwórz!

Paczuszka była lekka i stało się jasne, że nie ma w niej butelki. Zresztą byłoby to głupie. W środku zobaczyłem coś ładnie zapakowanego w biały papier. Palcami pokazała mi, żebym otwierał jak najostrożniej. W miniaturowej doniczce był równie miniaturowy kaktus. Nie większy od kciuka nowo narodzonego dziecka.

Nigdy jej nie mówiłem, że nienawidzę roślin w pokojach. Wymagają uwagi i porządku, wymagają, żeby o nich myśleć, a ja nawet nie wiedziałem, jak trzeba myśleć o ludziach, których kocham. Kiedy umarła babcia, wszystkie kwiaty w moim pokoju uschły. Było mi smutno, choć ich nie znosiłem.

Uśmiechnąłem się, pocałowałem ją i w paru słowach wyraziłem zachwyt. Kiedy uwierzyła, że jest prawdziwy, wyjąłem Chanel 5 (kupowałem je oczywiście, myśląc o Marilyn) i eseje Susan Sontag *O fotografii*. Nigdy nie dawałem jej tylko książki, bo uważała, prawdopodobnie słusznie, że książki darrowują z myślą o sobie, nie o niej.

Kaktus ustawiłem w na poły słonecznym miejscu w moim pokoju, koło gipsowej figury świętego Vlaha i kamyka z dziurką pośrodku, który przynosi szczęście. Po kilku miesiącach zaczęła się wojna w Chorwacji, film Špeglja, Plitvice, Borovo Selo³...

Podlewałem go regularnie co pięć dni i starałem się nie przesuwac doniczki. Kiedyś dawno babcia mi powiedziała, że kaktusów nie wolno przestawiać. Mogą stać tylko

3 Martin Špegelj, były generał armii jugosłowiańskiej, pierwszy minister obrony w niezależnej Chorwacji – tu mowa o filmie „dokumentalnym” wyemitowanym w całej Jugosławii wkrótce przed jej rozpadem, w którym oskarżono go o zaopatrywanie w broń oddziałów chorwackiej Obrony Terytorialnej w celu wypędzenia ludności serbskiej. Plitvice i Borovo Selo – miejsca pierwszych (maj 1991) starć w wojnie chorwacko-serbskiej (1991–1995).

w jednym miejscu. Nie ma większego znaczenia, jakie to miejsce i czy jest najładniejsze, ważne, żeby było ich. Dbalem o kaktusa i sam się sobie dziwiłem, jak to się dzieje, że nie robię mu krzywdy.

I zamiast zginąć jak wszystkie te sympatyczne podarunki, które kupcy specjalnie wystawiają przed świętami, on zaczął rosnąć. Stroszył kolce, delikatne jak u malutkiego jeża, tył i łagodnie przechylał się ku słońcu. Już nie wyglądał jak kciuk niemowlaka. Kiedy ona przychodziła do pokoju, była szczęśliwa, że kaktus nie utopił się w moim niedbalstwie.

– Zaczyna być podobny do ciebie.

– Kaktus?

– Właściwie nie do ciebie, tylko do pewnej części twojego ciała.

Ja niczego takiego, przyznaję, nie zauważyłem, ale kiedy to powiedziała, zacząłem go za takiego uważać. Kaktus stał się małym wesołym szczegółem w naszym życiu, tym szczegółem, który sprawia, że wszystkie miłości wychodzą z zadanych ram i stają się warte wspomniania.

W dniach, kiedy został zniszczony Vukovar, poczułem lodowaty oddech na plecach. Życie stawało się bardzo poważną sprawą, inną niż wszystko, co o nim wiedziałem. Każdy błąd mógł być fatalny, czułem to, choć wciąż jeszcze nie rozumiałem jak i dlaczego.

Pod koniec marca 1992 roku ona wyjechała z miasta. Zdawało się, że wyjeżdża jak na wycieczkę. Bez pożegnania.

W pierwszych dniach kwietnia przeniosłem się do piwnicy. W koronę jabłoni trafił granat moździerzowy. Szyby popękały, a odłamek nie większy od ziarnka ryżu rozbił stare austriackie lustro na toaletce koło szafy. Szkło trzasnęło z regularnością południków na mapie geograficznej. Telefony wciąż jeszcze działały i spróbowałem jej to opowiedzieć. Nie rozumiała. Myślała pewnie, że trochę mi się pokręciło w głowie.

Co pięć dni szedłem na górę i podlewałem kaktusa. Teraz był przechylony w stronę pozycji czetników. Łękliwie